ROK III SIERPIEŃ 1931 NR. 8

PRZESZŁOŚĆ

CZASOPISMO HISTORYCZNE DLA WSZYSTKICH
WYCHODZI CO MIESIĄC POD REDAKCJĄ PIOTRA ŻUKOWSKIEGO

Bizantynistyka zagranicą i w Polsce

Państwo wschodnio-rzymskie, obejmujące grecką co do języka i kultury część imperjum rzymskiego i sięgające swemi podstawami w czasy Konstantyna W. (323-337), broniło się skutecznie przez dziesięć przeszło wieków swego istnienia przed różnemi narodami, podbijając je nawet i wchłaniając w swój organizm. Chroniło tem samem całą zachodnią Europę przed zalewem ludów wschodnich. Oparte na kulturze hellenistycznej i rzymskiej idei państwowej, rozwijało się państwo wschodnio-rzymskie dalej pod wpływem chrześcijaństwa i cywilizacji narodów wschodnich, zwłaszcza syryjskich i słowiańskich. Pod działaniem tych czynników przemieniła się powoli kultura starej klasycznej Hellady w nową, synkretystyczną, dla Zachodu często niezrozumiałą cywilizację bizantyńską. Nie była jednak ta cywilizacja skostniałą i bez życia, jakby się zdawać mogło, lecz pozostając w ciągłym ruchu, podnosiła się ona po chwilach upadku do wysokiego stopnia rozwoju, któremu średniowieczny Zachód niezawsze może coś podobnego przeciwstawić. Nie była też w sobie zamkniętą, lecz wywierała wielki wpływ na cywilizację sąsiednich krajów oraz zachodniej Europy. Wzajemne oddziaływanie na siebie tych cywilizacyj, bizantyńskiej i zachodnio-europejskiej, widoczne głównie w czasach wojen krzyżowych, trwało i nadal przez cały okres istnienia państwa wschodnio-rzymskiego aż do jego upadku po zdobyciu Konstantynopola przez Turków w 1453 r.

Osiedlenie się uczonych greckich, prześladowanych przez Turków, w krajach zachodniej Europy przyczyniło się znacznie do wzmożenia się ruchu humanistycznego i do ożywienia znajomości kultury antycznej a zarazem i bizantyńskiej. Wkrótce też pojawiły się we Włoszech i Niemczech liczne przekłady historyków bizantyńskich, a w ślad za niemi nastąpiły wydania samych tekstów greckich. W latach 1557-62 ogłosił Hieronim Wolf, humanista i profesor w Oettingen, tekst grecki z przekładem łacińskim dzieł najważniejszych historyków bizantyńskich i stworzył w ten sposób pierwsze „Corpus Historiae Byzantinae“, które obejmując przeszło tysiącletnie dzieje państwa bizantyńskiego, służyło

przez wiek zgórą za główne źródło do poznania tych dziejów. W pół wieku potem Niderlandczyk Jan Meursius, zajmując się wydawnictwem tekstów bizantyńskich, spostrzegł wielką odrębność w języku i stylu między greckimi pisarzami średniowiecznymi a klasycznymi i dlatego wydał w 1617 r. osobny słownik, wykazujący te różnice, p. t. „Glossarium Graeco-Barbarum“. Do zajmowania się historykami bizantyńskimi pobudził Wolfa i jego szkołę nietylko interes czysto naukowy, ale i chęć poznania historji Turków, którzy grozili zalewem zachodniej Europie, a których dzieje opowiadali wspomniani historycy.

Ze wzrostem nauk, zwłaszcza historycznych, we Francji 17 w. powstała w gronie uczonych, gromadzących się koło Ludwika XIV., myśl wydania w jednem „Corpus“ wszystkich dostępnych historyków bizantyńskich. Podług programu i pod kierunkiem profesora O. Filipa Labbe (Labbaeus) S. J. pracowali zakonni i świeccy, francuscy i obcy uczeni nad publikacją tego nowego „Corpus Historiae Byzantinae“, które wyszło w latach 1648-88 pod protektoratem króla, z jego drukarni i jego nakładem w 40 tomach in folio (w 1711 i 1819 r. wyszły jeszcze 2 tomy). Wydawnictwo to, chociaż nie jest wolne od błędów i nie odpowiada nowszym wymaganiom naukowym, oddaje jeszcze dziś bizantynistom wielkie usługi z powodu bardzo bogatego materjału naukowego, zawartego w objaśnieniach.

Do uczonych, którzy w swych studjach schodzili również na pole bizantynistyki i niemało przyczynili się do jej rozwoju, należeli wówczas i w 18 w. Leo Allatius, Du Cange, B.de Monfaucon, Benedyktyn Anzelm Bandurius, Le Quien, Dominikanin Goar, Albert Fabricius i inni. Wszystkie jednak ich prace, choć ważne, nie wywierały wielkiego wpływu i zainteresowania wśród ogółu uczonych i wśród warstw wykształconych.

W pierwszej połowie 18 w. postanowili uczeni niemieccy pod przewodnictwem B. J. Niebuhra, profesora historji rzymskiej, stworzyć nowe „Corpus Historiae Byzantinae“, obejmujące wszystkich historyków bizantyńskich. W latach 1828-78 wydano 49 tomów (później wyszedł jeszcze jeden tom) t. zw. „Corpus Bonnense“, lecz tylko wydania sporządzone przez samego Niebuhra i pod jego kierunkiem odpowiadają swemu celowi, bo dalsze publikowane przez Em. Bekkera są po większej części przedrukami paryskiego „Corpus“ wraz z jego błędami, do których dodano wiele nowych. Mimo że wydanie to było chybione, przedrukowano je w większości w Migne‘a „Patrologia Graeca“ i do dzisiaj są historycy bizantyńscy najbardziej dostępni dla zajmujących się nimi w tych dwu publikacjach.

Filhellenizm, wywołany w zachodniej Europie bohaterskiemi walkami Greków z Turkami (od 1821 r.), i wzrost wszystkich nauk sprowa-

dziły w połowie 19 w. rozwój studjów nad kulturą bizantyńską. Zaczęły się odtąd mnożyć w Niemczech, Francji, Anglji, Rosji i innych krajach prace z dziedziny bizantyńskiej historji kościelnej i politycznej, prawa cywilnego i kościelnego, literatury kościelnej i świeckiej, filologji, archeologji, sztuki, folkloru i t. d. Jednakże te usiłowania nie były oficjalne i należycie zorganizowane. lecz uprawiane dorywczo przez uczonych, interesujących się tylko pewnemi objawami kultury bizantyńskiej, wchodzącemi w zakres ich specjalności.

Dopiero przy końcu 19 w. wystąpił niepospolity uczony, który zrozumiał doniosłość tej zaniedbanej gałęzi wiedzy, zorganizował ją i nadał jej jednolity kierunek. Był nim Karol Krumbacher, który habilitowawszy się w 1884 r. na uniwersytecie w Monachjum dla filologji i literatury średnio i nowogreckiej, wykładał swój przedmiot zrazu jako docent prywatny, a od 1897 r. jako profesor zwyczajny aż do swej śmierci w grudniu 1909 r. Przez napisanie obszernej historji literatury bizantyńskiej (Geschichte der byzantinischen Litteratur, 1. wyd. 1891 r., 2 wyd. 1897 r.), przez założenie periodycznego czasopisma (Byzantinische Zeitschrift od r. 1892) i utworzenie „Średnio i nowogreckiego seminarjum“ z odpowiednią bibljoteką przy uniwersytecie monachijskim postawił prof Krumbacher studja nad kulturą bizantyńską odrazu na wysokim poziomie. Następcą jego na katedrze bizantynistyki był zmarły niedawno prof. A. Heisenberg, wszechstronny i wielki znawca swego przedmiotu.

Ze szkoły tych dwu uczonych wyszedł znaczny zastęp bizantynistów z różnych krajów, którzy godnie kontynuują studja nad mało znaną doniedawna kulturą średniowiecza greckiego. Liczba katedr i docentów, wykładających bizantynistykę na uniwersytetach w różnych krajach, pomnożyła się znacznie w ostatnich czasach. Wzrosła też ilość czasopism, które specjalnie lub tylko przygodnie służą celom bizantynistyki. Wojna światowa zaciężyła i nad niemi, bo niektóre z nich jak „Vizantijskij Vremennik“ (wychodzący w Petersburgu od r. 1894), „Izwestija“ (wydawany w Konstantynopolu przez Rosyjski Instytut Archeologiczny od r. 1896), ‚Byzantis“ (1909 nn.), „Neos Hellenomnemon“ (Ateny 1904 nn.), przestały wychodzić. Powstały jednak po wojnie na ich miejsce inne czasopisma jak francuskie „Byzantion“ w Brukseli i Paryżu, greckie „Byzantina kai neoellenica chronica (Byzantinisch - neugriechische Jahrbücher“) w Atenach, i inne, które obok najstarszego organu „Byzantinische Zeitschrift“ koncentrują prace i studja z dziedziny bizantynistyki, a zarazem podają potrzebne informacje z jej zakresu.

Dzięki temu rozwojowi studjów nad epoką bizantyńską zaczęto odniedawna patrzeć na nią pod innym niż poprzednio kątem widzenia, zaprzestano niezawsze trafnych porównań z epoką klasyczną, tak odległą

od niej duchem i charakterem, a traktując ją historycznie i przykładając do niej miarę średniowiecza, jego wyobrażeń i skłonności, odkryto w niej wiele ciekawych stron, uznano jej wielką kulturalną misję na wschodzie Europy i ogromny wpływ na prawosławną Rosję i południowych Słowian. Dlatego też w tych krajach wzrósł znacznie w ostatnich latach ruch w dziedzinie studjów bizantyńskich.

W Polsce, leżącej na pograniczu dwu kultur, zachodniej łacińskiej i wschodniej grecko-bizantyńskiej bizantynistyka powinna znaleźć większe niż gdzieindziej i niż dotąd uwzględnienie. Otwiera ona szerokie pole badań dla historyków, pragnących się zająć stosunkami polsko-ruskiemi lub rosyjskiemi, dla slawistów, badających wpływy i zapożyczenia językowe w językach słowiańskich, dla specjalistów w języku i literaturze rumuńskiej, dla folklorystów, którzy mogą czerpać z pełnej skarbnicy podań i pieśni ludowych średnio i nowo-greckich, i wreszcie dla filologów klasycznych przedewszystkiem. Dawniej filologowie zamykali się w ciasnem kole pisarzy t. zw. epoki klasycznej, dziś doszli do przekonania, że literatury rzymskiej nie zrozumie się bez dokładnej znajomości literatury i kultury hellenistycznej, a w tej odkryto pierwsze ziarna nowogreckich uczuć i myśli. Studjowanie greckich Ojców Kościoła i późniejszej średnio- i nowogreckiej literatury może oczywiście ogromnie rozszerzyć zakres badań filologicznych.

Dotąd jednakże niewiele u nas w tym względzie można było zrobić. Niema bowiem jeszcze ani osobnej katedry uniwersyteckiej dla bizantynistyki ani czasopisma specjalnie jej poświęconego. Obok historyków, uwzględniających w swych dziełach częściowo także epokę bizantyńską, najwięcej zdziałali filologowie klasyczni. Należy do nich w pierwszym rzędzie prof. Uniw. Jag., dr. Leon Sternbach, autor wielu prac i wydawca tekstów bizantyńskich. Z jego uczniów najlepiej może z literaturą i językiem średniowiecza greckiego obeznany jest prof. Uniw. Pozn., dr. Jan Sajdak, który w r. 1911-12 pracował w seminarjum zmarłego niedawno bizantynisty prof. Heisenberga w Monachjum nad swoją historją krytyczną scholjastów i komentatorów św. Grzegorza z Nazjanzu. W r. 1927 brał on czynny udział w Międzynarodowym Kongresie Bizantynistów w Beogradzie, a w r. 1930 w Atenach. W większości swych prac, odnoszących się do wspomnianego klasyka chrześcijańskiego i jego wpływu na późniejszych retorów, gramatyków, leksykografów i poetów obracał się prof. Sajdak na gruncie literatury bizantyńskiej i stwierdził, że wiele jest jeszcze do zrobienia w tej dziedzinie. Szczególną uwagę zwrócił na brak dobrych wydań tekstów bizantyńskich, wydań, opartych na sumiennej recenzji możliwie wszystkich rękopisów danego dzieła czy też zbiorowych pism jakiegoś autora.

Dlatego postanowił pracę swą prowadzić i w tym kierunku i przedłożył Zarządowi Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk plan zamierzonego wydawnictwa tekstów bizantyńskich p. t. „Analecta Byzantina“. Wydawnictwo to ma objąć najpierw krytyczne wydanie pism Jana Kyriotesa Geometresa, liryka greckiego z X w. po Chr., dalej inne pomniki piśmiennicze tej epoki, jak scholja, komentarze i podobne pisma, odnoszące się do Ojców Kościoła IV w., a zwłaszcza do św. Grzegorza z Nazjanzu. Wydane więc będą przedewszystkiem Komentarze do jego mów, napisane prze różnych autorów z X do XIV w., a dalej Encomia tj. pisma pochwalne ku jego czci, skreślone przez pisarzy z tych samych czasów.

Prof. Sajdak stworzył sobie warsztat do swej pracy w Seminarjum filologji klasycznej Uniw. Pozn., gdzie zgromadził znaczną ilość odpisów względnie fotografij kodeksów tych dzieł, które zamierza wydać. Podczas ćwiczeń seminaryjnych zaprawia często swych uczniów w odczytywaniu rękopisów, w rozumieniu późniejszych autorów greckich i kultury bizantyńskiej, a tem samem przygotowuje i przyszłych pracowników w tej dziedzinie i materjał do dalszych tomów wydawnictwa, którego pierwszy zeszyt już wyszedł z druku.

Zawiera on „Hymny ku czci Bogarodzicy“ wspomnianego wyżej poety greckiego Jana Kyriotesa Geometresa, zwane też „Chairetismoi“ (powitaniami, wezwaniami), gdyż wszystkie heksametryczne wiersze ich dystychów elegijnych zaczynają się od słów „chaire“ lub „chairois“ (= witaj), po których wypowiada poeta coraz to inne inwokacje czy epitety N. Marji Panny. Takich hymnów jest w wydanym tomiku cztery, liczących razem 304 wierszy. Po nich następuje 8 wierszy jambicznych i piąty hymn alfabetyczny tak ułożony, że pojedyńcze jego wiersze składają się z wyrazów, wielbiących N. M. Pannę, a rozpoczynających się od tej samej litery według porządku alfabetycznego. Te wyrażenia pochwalne, któremi poeta wielbi Bogarodzicę, napotyka się już i u innych dawniejszych hymnografów greckich, nigdzie jednak nie występują one z taką siłą i w takiej ilości jak u niego. Jego pozdrowienia, inwokacje i epitety, nadawane Bogarodzicy, przeszły z czasem do hymnów łacińskich, a z nich do Litanji Loretańskiej i do Godzinek ku czci N. Marji Panny, jak świadczy o tem podobieństwo a raczej identyczność wielkiej ilości inwokacyj Geometresowych, zestawionych z inwokacjami Litanji i Godzinek.

Trwałą więc zasługą prof. Sajdaka, wydawcy tych „Hymnów“, będzie wskazanie na bezpośrednie źródło późniejszej marjologicznej hymnografji łacińskiej i na wpływ, jaki wywierały utwory literatury bizantyńskiej na średniowieczne piśmiennictwo łacińskie, a przez to i na u-

twory literatur narodowych. W świetle tych „Hymnów“ prawdopodobnem wydaje się zapatrywanie jednego z badaczy literatury polskiej, który i naszą „Bogarodzicę“ wywodzi z Bizancjum. Dodać też trzeba, że przez wydanie tych „Hymnów“ entuzjastycznego czciciela Bogarodzicy składa nauka polska w 1500-tną rocznicę sławnego Soboru Efeskiego jego członkom, którzy w 431 r. uroczyście stwierdzili i światu chrześcijańskiemu ogłosili, że „Matka Chrystusowa“ jest zarazem „Bogarodzicą“.

Nakoniec zaznaczyć jeszcze należy, że wielką przysługę oddaje nauce naszej Zarząd Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, podjąwszy się własnym kosztem wydawać „Analecta Byzantina“ jako osobną serję prac, które, tworząc całość jednolitą i w pewnym wyraźnie określonym kierunku fachową, znajdą zapewne w literaturze naukowej, zwłaszcza obcej, łatwiejsze uwzględnienie, a przez to i większe rozpowszechnienie.

Poznań. — Jan Ujda.

W petersburskim instytucie dla szlachetnie urodzonych panien przed 60 laty

W r. 1870, gdy miałam lat 12, przywieziono mię z Wilna do Petersburga i umieszczono w Instytucie dla szlachetnych Panien na koszt rządowy, ponieważ z pośród 500 kandydatek byłam jedną z 5, które w wyniku losowania zostały przyjęte. Koleżanki moje nie traktowały mię źle, lecz dziwiły się, że się modlę klęcząc, nie rozumiały należycie mej mowy i śmiały się z akcentu. Później, gdy jad nienawiści do Polski przenikał do nich w rodzinach, gdy stawały się starsze, nieraz obrażały mię, nazywając buntowszczycą, mjateżnicą — i to za byle co . Jeśli z powodu zmęczenia nie chciałam i nie mogłam dopomóc im w odrabianiu lekcyj lub wykonać jakiej innej prośby,—wywierały swą złość w ten sposób. Naogół jednak przeważały dobre i wychowane dziewczęta, z któremi się zaprzyjaźniłam. Były to córki szlachty rosyjskiej, nawet wysokich dygnitarzy. W zatargach z koleżankami władze stawały po mej stronie. Gdy razu pewnego koleżanka zażądała ode mnie mego podręcznika, z którego się uczyłam, a nie dałam go jej, krzyknęła: „Polka przeklęta“. Hamując swe oburzenie, powiedziałam jej „A ty jesteś błogosławioną Rosjanką“. Usłyszała to wychowawczyni i, gdy się dowiedziała szczegółów,wpadła w gniew, tupała nogami i tak unicestwiła moją przeciwniczkę, grożąc jej wydaleniem, że atmosfera wogóle się oczyściła.

Zakład nasz, jako założony przez Katarzynę II dla „dziewic szlachetnych“, cieszył się specjalnemi względami rodziny carskiej. Kuratorem jego był książę Oldenburski, staruszek ruchliwy i dobroduszny, mówiący zawsze po fran-

cusku, chociaż dość niewyraźnie z powodu brodawki na wardze. Przyjeżdżał znienacka podczas obiadu, siadał przy pierwszej lepszej uczennicy i próbował potrawy z jej talerza. Kilka razy zapraszał uczennice klas starszych pedagogicznych do swego pałacu przy Polu Marsowem. Z okien pałacowych przyglądałyśmy się 1 maja najwspanialszej rewji wojskowej, która się odbywała w obecności cara Aleksandra II. w otoczeniu rodziny i świty. Car był na ślicznym białym arabskim rumaku. Miał orle wejrzenie, wspaniałą postawę, uderzająco piękną twarz. Kiedyindziej książę wydawał dla nas bale, na których tańczyłyśmy z kwiatem młodzieży wojskowej. Uczennice starszej klasy raz do roku specjalnym rannym pociągiem 1 lipca udawały się na zaproszenie rodziny carskiej do jednego z letnich pałaców w Carskiem Siole, Pawłowsku, Peterhofie lub Gatczynie. Na dworcach w tych miastach oczekiwał nas sam car z wielkimi książętami, poczem powozem dworskim z lokajami w liberjach ruszałyśmy do rezydencji. Po przejażdżce po parkach, gdzie pokazywano nam wszelkie osobliwości, fontanny, altany, groty, posągi i t.p., zajeżdżałyśmy przed pałac i po obejrzeniu witałyśmy głębokim ukłonem oczekującą nas na balkonie carową z synami Sergjuszem i Pawłem, chłopcami w ubraniu marynarzy. Pozostawałyśmy gośćmi carskimi przez cały dzień; zasiadałyśmy parokrotnie do stołów; mogłyśmy poznać wspaniałość złotej zastawy i jakość kuchni. Wieczorem dostawałyśmy po bukiecie prześlicznych kwiatów i po dużem pudełku cukierków. Wśród zabaw ulubioną było skakanie w gumowej siatce, naciągniętej na palach. Brał w tem udział sam car i jego chrzestne córki, księżne Czarnogórskie, Milica, Maria i Lubica. Wieczorem rozpoczynały się tańce, cztery razy do roku były bale w samym Instytucie, poczem o zmierzchu wracałyśmy. Kawalerami naszymi byli wychowankowie Paziów i Szkoły Prawoznawstwa. Była to złota młodzież stolicy, synowie najstarszych i najbogatszych rodzin. Wszystko to jednak dotyczy lat ostatnich pobytu w Instytucie. Na początku było mi źle, tęskniłam straszliwie do Matki, a po 2 tygodniach zachorowałam na tyfus i przeleżałam w szpitalu 6 tygodni. Uderzającem jest to, że na tyfus zapadały wszystkie wychowanki z powodu picia surowej wody, nalewanej do karafek. Przyczyna choroby wiadomą była chyba wszystkim, jednak przegotowanej wody nam nie dawano. Zwykły tryb życia w zakładzie był taki. Wstawałyśmy o godz. 6 na sygnał dzwonem, o 7 odbywała się gimnastyka, potem wspólna modlitwa.

Pożywienie było dostateczne i dobre. Zrana o 8 dostawałyśmy szklankę herbaty z mlekiem i pół bułki francuskiej. Po drugiej lekcji przynoszono do klasy na półmisku pokrajany i osolony czarny chleb. Każda dostawała plasterek. Po lekcji trzeciej była 1½ godzinna przerwa na spacer, przyjęcie krewnych i śniadanie, składające się z talerza kaszy z masłem i pieroga z kapustą, ryżem itd. Następne dwie lekcje kończyły się o g. 16 min. 20. Lekcje trwały nieprawdopodobnie długo, bo pięć kwadransów, nawet w najniższej,

VII kl. (Numeracja klas była w porządku odwrotnym. Postępy oceniano 12 stopniami.)

Nauczycieli i wychowawców miałyśmy dobrych, zapewne najlepszych w stolicy. Pomimo to doznawałyśmy niemało przykrości i niesprawiedliwości od wychowawczyń („damy klasowe“). Nie odstępowały nas one ani na krok, kolejno dyżurowały w klasie, przygotowywały razem z nami lekcje, sypiały w pokoju naszej sypialni i miały olbrzymią władzę, której nieraz nadużywały. Razu pewnego koleżanka, której łóżko stało obok mego, umieściła swe pantofle pod mem łóżkiem. W pośpiechu włożyłam je i udałam się na lekcję muzyki. Właścicielka ich nie mogła natomiast włożyć mego obuwia, ciasnego dla niej i musiała opuścić lekcję tańców. Stąd rozgoryczenie i skargi przed wychowawczynią, która w sposób ostry zgromiła mię. Gdy na usprawiedliwienie odparłam, że to tamta winna, bo nie patrzy, co czyni, wychowawczyni z gniewem krzyknęła: „Co! Będziesz mię jeszcze uczyła. Nie pojedziesz do domu na święta!“ Była to sroga kara, gdyż podczas Świąt Bożego Narodzenia cała rodzina oczekuje z niecierpliwością swych dziewczynek, puszczanych tylko na 4 dni. Ponieważ brat mój miał już bilety do opery, w której śpiewała najznakomitsza śpiewaczka włoska Patti, — przeto kara była jeszcze dotkliwszą. Przykrą i demoralizującą stroną w stosunkach naszych z tą wychowawczynią były pyszne prezenty, ofiarowywane jej przez nas w dniu jej imienin i urodzin. Ponieważ należałam do niezamożnej rodziny (straciłam ojca w r. 1863), nie mogłam dawać większych kwot na kupno prezentów i byłam traktowana tak nieżyczliwie. (Ciąg dalszy nastąpi)

Bitwa pod Ostrołęką

Badanie przyczyn upadku powstania listopadowego sprowadza się głównie do wyszukiwania błędów i wad Naczelnego Dowództwa. Rozważając zagadnienia, związane ze stroną strategiczną i taktyczną wojny 1830-31 roku, powiemy za Napoleonem: „Prowadzenie wojny zależy od roztropności, umiejętności i doświadczenia dowódcy“.

Rola wodza, jego autorytet wobec Rządu, Narodu i wojska są temi czynnikami zasadniczemi, które decydują o losach wojny. Jaskrawym przykładem nieudolności kierowników powstania jest bitwa pod Ostrołęką, gdzie zestrzeliły się wady wodza i chwiejność jego najbliższych współpracowników. Te składniki dały sumę przegranej, a co gorsza załamały wiarę w zwycięstwo. Czynnik irracjonalny bitew: zapał, entuzjazm, konieczny we wszelkich zamierzeniach wojennych, zamierając oddawał inicjatywę w ręce rosyjskie. Tem samem zmniejszył rolę Polaków.

Długa bezczynność po bitwie pod Iganiami (ściślej pod Kuflewem i Mińskiem) dała się we znaki armjom polskiej i rosyjskiej. Plan polskiego Naczel-

nego Dowództwa, ułożony przez generalnego kwatermistrza gen. Prądzyńskiego, wymagał od naczelnego wodza gen. Skrzyneckiego szybkiej decyzji w działaniu. Plan polegał na tem, by Rosjan usunąć w bagnisty klin między dwiema rzekami (Kostrzyń i Liwiec) i tam wydać im decydującą bitwę. Projekt według opinji historyków wojskowości miał te dodatnie strony, że bagniste okolice i chwilowa przewaga sił polskich mogła przechylić w tej bitwie szalę zwycięstwa na stronę polską. Niestety projekt ten nie uzyskał poparcia ze strony Nacz. Wodza, który wychodził z założenia, że wojsko polskie w tym czasie niezdolne było do manewru. Wówczas Prądzyński przedstawił inną propozycję, znaną jako plan „wyprawy na gwardje", który zmierzał przedewszystkiem do pobicia gwardyj rosyjskich, a następnie do sprowokowania walnej bitwy z Dybiczem. Zresztą projektodawca sądził, że sam fakt pobicia gwardyj zmusi feldmarszałka do powrotu do Rosji. Korzyści, jakie miały płynąć z tej wyprawy, sprowadzały się przedewszystkiem do tego, aby przepuścić posiłki na Litwę. Kraj ten, objęty pożarem powstania, zmusiłby Rosjan do skierowania baczniejszej uwagi na wypadki litewskie i odciągnąłby część wojska z terenów Królestwa Polskiego. Niestety cel, który przyświecał temu przedsięwzięciu, nie został osiągnięty . Wyprawa na gwardje, skutkiem nieudolności Nacz. Wodza i niespodziewanie szybkiego nadejścia armji Dybicza, nie udała się. Zakończona odwrotem Polaków, zdawała się złowróżbną kometą dla dalszego rozwoju wypadków. Otóż wyprawa na gwardje, będąc preludjum bitwy ostrołęckiej, stała się punktem wyjścia dla operacyj strategicznych Nacz. Dowództwa. Niepowodzenia polskie ściągnęły na Skrzyneckiego wiele zarzutów i zwróciły przeciwko niemu opinję powszechną. Dążeniem tedy Nacz. Wodza było zrehabilitować się i nie pozwolić na utratę inicjatywy. Przedłożony sobie przez gen. kwatermistrza projekt Skrzynecki zmienił, uważając plan Prądzyńskiego za zbyt ryzykowny, nie dający się według jego przewidywań skutecznie urzeczywistnić. Propozycja Prądzyńskiego po uzupełnieniu przez Nacz. Wodza sprowadzała się do zajęcia stanowisk na lewym brzegu Narwi w Ostrołęce i Łomży, z zamiarem kordonowej obrony linji tej rzeki. Chodziło o to, aby każde z zajętych stanowisk służyło do flankowego zagrożenia armji nieprzyjacielskiej.

Motywy, jakiemi kierowało się Nacz. Dowództwo przy układaniu planu, zmierzały do utrzymania komunikacji z Litwą i z Warszawą i do niedopuszczenia Dybicza do granicy Prus Wschodnich. Wreszcie Prądzyńskiemu zależało na tem, aby Rosjanie nie zwątpili o zdolnościach wodzów polskich i duchu żołnierskim. Dlatego przez bitwę chciał uniknąć pozoru gwałtownego wycofania się przed Dybiczem. Już w samych założeniach, na których opierał się plan bitwy, tkwił błąd, wynikający według Prądzyńskiego z „uporu i fiksacji" gen. Skrzyneckiego. Mianowicie tym błędem było obranie stanowiska pod Ostrołęką, niezdatnego dla przeprowadzenia planu strategicznego.

25 maja armja polska zatrzymała się pod Ostrołęką. Całe wojsko przeszło na prawy brzeg Narwi; w miasteczku został tylko 11-o tysięczny korpus gen. Łubieńskiego. Bitwy w dniu następnym nie przewidywał nikt, a najmniej Nacz. Dowództwo, które wyraźnie zaznaczyło w rozkazie, że „życzeniem jest nie wydawać bitwy". Zresztą sam fakt pozostawienia Giełguda w Łomży, a więc o kilkanaście godzin drogi, a Łubieńskiego w Ostrołęce z poleceniem zaciętej obrony w razie natarcia, przeczy wszelkim przypuszczeniom o możliwości wydania bitwy na dzień 26 maja.

W tym czasie jednak Dybicz przeszedł do ofenzywy: feldmarszałek niezwykle forsownym marszem zbliżył się do Ostrołęki i 26 rano jego pierwsze kolumny (Berg) natarły na szeroko rozstawiony (wieś Ławy) korpus Łubieńskiego. Po krótkiej bitwie generał polski, bojąc się oskrzydlenia, nakazał odwrót za Narew. Wtedy Skrzynecki zupełnie niepotrzebnie wysłał do miasta słynny pułk czwarty, wzmocniony paru bataljonami weteranów. Zbliżająca się awangarda rosyjska rozpoczęła z Polakami walkę uliczną. Potyczka ta nie mogła dać dla nas dobrego rezultatu z tego chociażby powodu, że domy w Ostrołęce prawie wszystkie były drewniane. Przez to niezmiernie łatwo było wzniecić pożar i odciąć w ten sposób „czwartakom" drogę do mostów. Nadomiar złego saperzy polscy z rozkazu Skrzyneckiego rozebrali pokład mostu i piechota musiała cofać się po paru balach i po lekkim, zatapiającym się przy lada obciążeniu pontonowym moście, pod gradem kul i kartaczy rozstawionej już rosyjskiej artylerji. W odwrocie zginęło b. wielu Polaków, a w dodatku nie zniszczono kompletnie mostu. Nic też dziwnego, że saperzy rosyjscy naprawili go z łatwością i że już wkrótce zaczęły nań wstępować rosyjskie kolumny.

Była godz. 11-ta. Gen. Prądzyński wpierw jeszcze gorączkowo rozstawił baterje polskie i jednocześnie zaproponował Wodzowi zastosowanie manewru tego rodzaju: pozwolić na przeprawę jak największej liczby wrogów, a następnie uderzeniem całej piechoty wrzucić wojska nieprzyjacielskie do rzeki. Ale Skrzynecki nie zrozumiał planu. Najpierw wysłał do boju resztki 4-go p. p., który celu swego, t. j. odparcia wroga na przeciwny brzeg, nie osiągnął i poszedł prawie w rozsypkę. Przez to do końca bitwy był zupełnie bezużyteczny. Wtedy gen. Skrzynecki nakazał baterji Turskiego przysunąć się bliżej do mostu pod pozorem, że strzały nie dochodzą. Ten niedorzeczny rozkaz doprowadził do dezorganizacji najpoważniejszej polskiej baterji (22 działa) i sprawił, że przez czas pewien milczały wszystkie armaty na prawym brzegu Narwi. Wtedy to bez osłony artyleryjskiej poszła do ataku brygada gen. Węgierskiego. Przez chwilę wydawało się, że Rosjanie będą musieli ustąpić. Wspomożeni jednak dwoma nowemi pułkami odparli brygadę tak Węgierskiego, jak i atakującą później — Langermanna. Uderzyła jeszcze reszta piechoty Rybińskiego i Małachowskiego, ale również pojedyńczemi pułkami, a więc bezsku-

tecznie. Nie zmienił postaci rzeczy atak bryg. Krasickiego na czele 14 pułku; zdemoralizował tylko całą brygadę przez stratę dowódcy.

Po pewnym czasie na tym terenie, zupełnie nieodpowiednim do walki konnej, szarżowały 2 i 3-ci pułk ułanów, ale obydwa ugrzęzły w smugach, które znajdowały się wpoprzek pola bitwy. Zginął wtedy dzielny gen Kicki. Po ataku polskiej konnicy nastąpiło przesilenie; gdyby następny atak polski nie odniósł skutku tak, jak i poprzedni, kto wie, czy ta niefortunna bitwa nie położyłaby kresu powstaniu. Na szczęście grupa H. Kamieńskiego, która w tym czasie była już jedyną polską dywizją, nie biorącą udziału w bitwie, uderzyła z taką zaciętością, że odrzuciła poza szosę świeżo przybyły korpus Mandersterna. Polacy, pozbawieni swego dowódcy, który w czasie tego ataku został śmiertelnie ranny, musieli się cofnąć. Nie zmieniło to jednak postaci rzeczy i Dybicz nie myślał już nawet o nowym ataku. Mimo to jego zbliżenie się do mostów sprawiło na Skrzyneckim wrażenie, iż przygotowuje się decydujące uderzenie rosyjskie. Aby temu zapobiec, kazał szarżować Bemowi na czele artylerji ks. Jabłonowskiego. Wprawdzie nie miał ten atak żadnego znaczenia taktycznego, ale utwierdził Dybicza w przekonaniu, że siły polskie jeszcze się nie wyczerpały. Nic też dziwnego, że na noc feldmarszałek skwapliwie cofnął całe swe siły na lewy brzeg Narwi, pozostawiając na prawym tylko nieznaczne oddziały. Na tę decyzję, sprzeczną z żądaniami gen. Tolla, wpłynęła wiadomość, że dywizja Giełguda spieszy z posiłkami armji polskiej.

Polscy generałowie zdawali sobie sprawę z możności powtórnego starcia. Pesymistycznie jednak nastrojona rada wojenna wbrew zdaniu wodza i kwatermistrza postanowiła rozpocząć odwrót w kierunku Warszawy. Jedna tylko sprawa budziła niepokój, a mianowicie, co stanie się z grupą Giełguda, która w takim razie znalazłaby się odcięta od głównej armji polskiej. Wyjście z tej sytuacji, zresztą wyjście tylko połowiczne, znalazł Dembiński, proponując wysłać ów korpus na Litwę dla organizacji powstania w tym kraju. Sam udał się z tem poleceniem do Giełguda. Wykonanie tego projektu w przyszłości miało zakończyć się upadkiem powstania litewskiego ; już w zarodku nosiło symptomaty klęski. Dembiński a z nim i inni generałowie zapomnieli, że nie może duża dywizja regularnego wojska prowadzić wojny podjazdowej.

Odwrót armji polskiej odbywał się pierwszego dnia w jak najgorszych warunkach: ogromna liczba dezerterów przyłączała się do cofającego się wojska grupkami. Wywołało to prawdziwy chaos i utrudniało spełnienie zadania zastępcy nieobecnego wodza gen. Łubińskiemu. W tych warunkach energiczny pościg ze strony Rosjan mógł dać nieobliczalne wyniki i znieść zupełnie armję polską. Na szczęście lękliwy i chwiejny Dybicz przez pewien czas ociągał się z pościgiem. Nakoniec zaś wysłana pogoń skutkiem nieudolności jej dowódcy gen. Witta zupełnie nie weszła w kontakt z Polakami. Dzięki temu reorganizująca się armja polska przybyła do Warszawy.

Krytycznie rozważając działania polskie w dniu 25 i 26 maja, musimy stwierdzić, że największym chyba błędem polskiego dowództwa było pozostawienie Giełguda w Łomży a Łubieńskiego na lewym brzegu Narwi. Następnie błędem Skrzyneckiego było niewykonanie planu Prądzyńskiego, którego zasadniczą ideą było działanie masą. Skrzynecki zaś, posyłając do ataku poszczególne brygady i pułki, narażał je na niechybną zagładę. Złe wreszcie według Prądzyńskiego było opuszczenie pola bitwy i nieczekanie na Giełguda, co zmieniło nierozegraną w zupełną klęskę. Zresztą i on sam, ten świetny sztabowiec, odgrywający tak wybitną rolę w wojnie 1830 i 1831 roku, przed bitwą i w czasie jej trwania popełnił sporo błędów i wielka część odpowiedzialności za klęskę spada na niego. Jego to winą było, że nie przygotował planu działania, przez co bitwa była prowadzona w chaotyczny sposób, że nie zapobiegł wysłaniu do boju poszczególnych brygad lub pułków, że wczas nie wysłał do Giełguda zawiadomienia z rozkazem rychłego powrotu, wreszcie, że pozwolił na użycie konnicy, której szarża nie mogła niczego dokonać na tym terenie. Wprawdzie Prądzyński nie mógł sam wydawać rozkazów, ale powinien był wywrzeć na wodza odpowiednią presję. W bitwie tej 17 tysiącom Rosjan Polacy przeciwstawili około 20 tys. żołnierzy. Przy racjonalnem prowadzeniu bitwy oręż polski zajaśniałby triumfem.

Kim był zaś ówczesny wódz naczelny Skrzynecki, niegdyś mierny oficer napoleoński? Czy godziło się, aby ten, kto podpisał wyrok na Łukasińskiego, stał na czele wojska polskiego? Takie pytania nasuwają się, gdy analizujemy charakter Naczelnego Wodza.

Przypadek zrządził, że został po Chłopickim wodzem. Brak Dwernickiego na radzie, zwołanej przez księcia Adama Czartoryskiego, sprawił, że los padł na Skrzyneckiego. Ambitny i gnuśny nie nadawał się na przeciwnika feldmarszałka Dybicza. Wyrazem jego ospałości i braku zainteresowania jest fakt, że wódz naczelny nie znał nawet dokładnie stanowiska, które obrał za teren walki. Sam rzadko ukazywał się wojsku, widziano go kilka razy przejeżdżającego przed kompanjami — ale w zamkniętej karecie. Ten stosunek wodza do żołnierzy nie mógł wywrzeć zbawiennych wpływów na losy bitwy. Od prestiżu wodza u żołnierzy wiele zależy w przedsięwzięciach wojennych. Ani Skrzynecki, ani Prądzyński, niestety, nie posiadali odpowiedniego autorytetu wśród wojska.

Odpowiedzialność za bitwę składa Skrzynecki na barki Prądzyńskiego. Jednak wódz, a nie szef sztabu odpowiada za rozkazy bitwy i wyszukanie terenu. Jeszcze jedną charakterystyczną cechą bitwy był brak ducha wśród żołnierzy — a nie było kogo, ktoby mógł podsycać wiarę w zwycięstwo i zagrzewać do walki. Anarchja, która rozpoczęła się już w czasie odwrotu z wyprawy na gwardje, pomimo ustanowienia żandarmerji, pozostawiła swe znamiona w czasie bitwy.

W ten sposób bitwa pod Ostrołęką zaważyła na dalszych losach wojny polsko-rosyjskiej. Na tych, którzy tak nieudolnie prowadzili bitwę, spada brzemię odpowiedzialności za jej następstwa, które w rezultacie doprowadziły do wzięcia Warszawy.

Opracowali Z. L. i A. T.

Z dziejów walki Prus Wschodnich z Brandenburgją
Rozmowa o ciężkich czasach

Był jesienny dzień r. 1662. Potężna berlina płynęła Wisłą i zbliżała się ku Gdańsku. Na statku stali koło kajuty kapitana trzej pasażerowie, należący do różnych stanów. Dwaj mieli porządne płaszcze, chroniące przed ostrym wiatrem, jeden z nich był ziemianinem, drugi kupcem. Trzeci, chłop, był licho ubrany; na szyi miał wełniany szalik. Kupiec mieszkał w Królewcu, inni dwaj w pobliżu Marienburga. Między nimi zawiązała się rozmowa o ciężkiem położeniu Brandenburgji, zwłaszcza Prus Wschodnich.

Szlachcic. Cóż w Królewcu mówią o nowych podatkach, które elektor wprowadził niby na parę lat, a teraz zamierza uczynić je stałemi?

Kupiec. Myślimy, że po roku zniesie je; przecie nastał spokój, elektor może rozwiązać swą armję. Kupiectwo w Królewcu nie wykazuje najmniejszej chęci łożyć dłużej na żołnierzy. Jeśli elektor będzie się upierał, wybuchnie powstanie.

Szlachcic. Może przyjść do tego, bo elektor jest uparty. Wojska jego wciąż trapią naszą wynędzniałą krainę. Słuchaj, chłopie, chodź no tu. — Chłop z uniżoną miną podszedł, trzymając czapkę w ręce.

Szlachcic. Powiedz no nam, jak tam u was stoi sprawa z kwaterunkiem żołnierzy. Włóż czapkę! — Chłop nieufnie spoglądał na panów i nie spieszył się z wypowiadaniem swego zdania; przypuszczał, że ma przed sobą urzędników elektora. „Gadaj śmiało, czego się boisz?“

Chłop. Biada nam! Kwaterunek zabija nas. Dragoni postępują z nami gorzej, niż wrogowie; za jedzenie nie płacą; każą przynosić furaż dla koni. Głodujemy z dziećmi i żoną, byle tylko napchać brzuch paskudnemu dragonowi.

Szlachcic (do kupca). Widzi pan, jak nas gnębi kwaterunek.

Kupiec. Panowie chyba nie odczuwacie żadnych ciężarów, które spadają wyłącznie na chłopów. Czy nie jest tak?

Chłop (zerka lękliwie na szlachcica). Tak jest, łaskawy panie, ziemianie nie wiedzą, co to jest postój żołnierzy.

Szlachcic (piorunuje wzrokiem chłopa). Dość tego bezczelnego gadania. Jesteś chamem i należy cię oddać do wojska. Czy myślisz, że taką bandę dragonów należy puścić do ziemiańskiego dworu? — Chłop przelękniony wybuchem tego gniewu, żachnął się i patrzał bezradnie na kupca, który wtrącił , że jednak i chłop jest człowiekiem.

Szlachcic. Zgoda, ale jakim człowiekiem? Kto go sprowadził do tego kraju? — Szlachcic! Kto go bronił podczas niepokojów i wojen, gdy nie było jeszcze elektora z wojskiem? — Szlachcic! A teraz ja, Pan, mam się zrównać z chamami? Nie! Pan pozostanie panem, a chłop chłopem.

Kupiec. Zgoda! Chłop nie może się zrównać z nami! Różnica między stanami pozostać powinna.

Chłop (nieśmiało i półgłosem). Łaskawi panowie! Chłop wcale nie sięga wysoko, lecz jest stworzony przez Boga i chce żyć. To właśnie jest prawie niemożliwe. Wielu z

pośród nas zaspakaja swój głód wytłoczynami, plewami i innemi obrzydliwościami! Ach, te podatki i kwaterunki...

Szlachcic. Podatki wszyscy płacą, nietylko chłopi!

Kupiec. My w miastach też płacimy te przeklęte elektorskie podatki.

Chłop, czując się ośmielonym: Myśmy przyzwyczajeni do ciężarów, chętnie je dźwigamy i płacimy elektorowi, co trzeba. Należy jednak wyznaczać podatki bardziej sprawiedliwe!

Szlachcic. Co ty pleciesz o niesprawiedliwym podziale podatków! Skąd masz tyle rozumu? Masz za dużo czasu do rozmyślań i grzebania się w tych sprawach! Moi chłopi pracują cały dzień, by wyżyć z rodzinami. Oni nie mają czasu zajmować się głupstwami. Jesteś chyba nicponiem i złodziejaszkiem! Co?

Chłop z uporem: Spójrzcie na me ręce. Czy takie ręce ma złodziej? Dziś najgłupszy chłop zaczyna rozumieć, że wszystko utrzymuje się jego kosztem. Czy to słuszne, że chłop płaci takie same pogłówne, co i pan, mający 3 czy 4 tysiące mórg. Pan kupiec sądzi sprawiedliwiej. Czyż panowie nie wiedzą, że biedna wyrobnica płaci rocznie kilka marek podatku, a z parobka biorą całego talara, podczas gdy zamożna gosposia we dworze nie płaci nic. To, co nam łaskawie pozostawi elektor i jego żołnierze, to zabiera nam nasz dziedzic. Prawie codziennie muszę zabierać żonę, dzieci, sprzężaj i wyruszać do orki na pańskim zagonie; tymczasem własny mój grunt leży odłogiem. Czy to jest chrześcijański porządek?

Szlachcic (ponsowy z oburzenia). Ależ co za bezczelne, śmierdzące bydlę! Ty, łotrze, masz wszystkiego za wiele, jeśli pozwalasz sobie na takie szczekanie. Wartoby ci sprawić porządną łaźnię!

Chłop (widząc, że szlachcic sięga po bat) wycofuje się i przechodzi na drugą stronę statku.

Kupiec. Czyż szlachta nie nadużywa swych praw względem chłopów?

Szlachcic (wciąż rozjuszony). Jesteśmy za łagodni! W przeciwnym razie cham nie miałby tak szerokiej gęby. Chłopi liczą na pomoc Elektora, który ma wziąć ich w obronę. Zresztą idzie ku temu, jeśli ziszczą się jego słowa wypowiedziane w Królewcu w rozmowie z namiestnikiem prowincji: „Chcę być nieograniczonym panem i ojcem tego kraju". Niestety, niepowrotnie minęły te błogie czasy, kiedy krajem rządziła szlachta i miasta, a książę grzeczniutko prosił o pieniądze i cieszył się, jeśli łaskawie zezwalaliśmy na padotki. Teraz nasze dawne prawa podeptano.

W toku rozmowy biesiadnicy nie zauważyli, że kapitan przybił do brzegu i zakotwiczył statek. Na lewym brzegu Wisły czekał na prom długi szereg wspaniałych karet, otoczonych przez panów na wspaniałych rumakach, dalej stały liczne wozy, okryte grubem płótnem.

„To Elektor", rzekli obaj i spojrzeli na siebie ze strachem. Rzeczywiście, to Elektor z żoną swą Luizą Henryką udawał się do Królewca celem przyjęcia uroczystego hołdu od tej prowincji. Elektor siedział na olbrzymim białym koniu w otoczeniu generałów i doradców. Miał potężną głowę o dumnym, władczym wyrazie. Wydatny, śmiały nos i olbrzymia peruka powiększała wrażenie lwiej potęgi. Oczy o ostrym, rozkazującym wyrazie uzupełniały obraz człowieka, który przyzwyczaił się do rozkazywania. Na naszym statku wszyscy starali się jak najlepiej przyjrzeć się władcy i jego otoczeniu. Szlachcic i kupiec całkiem stracili humor, gdy ujrzeli przed sobą nieugiętego władcę. „*Przepadła świetność naszych stanów*", wyrzekł wreszcie żałośnie kupiec. Szlachcic milczał posępnie. Chłop w zachwycie pożerał wzrokiem monarchę i myślał: „*Czyżby on nie mógł sprawiedliwiej wyznaczyć podatków? Gdyby tylko zechciał*"!

Gdy prom przewiózł cały orszak na drugi brzeg i cudowna zjawa pomału zniknęła we mgle jesieni, chłop wyszeptał: „*On jest władcą nas wszystkich*". Tak myślał chłop, inne stany jednak wrzały oburzeniem i coraz głośniej szemrały. „*Elektor nie będzie naszym panem ! Nie pozwolimy pozbawić się naszych przywilejów. Precz z wojskiem, precz z podatkami*". Najgłośniej i nazuchwalej rozlegały się te słowa w Królewcu... Tu wodzem opozycji był zuchwały ulubieniec mieszczan, sędzia miejski Hieronim Roth. Tłumy olbrzymie odprowadzały go pewnego dnia 1662 r. do pałacu namiestnika Hr. Schwerina. „Na naszym ratuszu widnieje napis : *Niema tak rzetelnego władcy, który w głębi duszy nie chciałby być tyranem.* Dlatego powiadam Panu, że Elektor puści nas z torbą i chce wszystkich nas uczynić swemi niewolnikami" — to były pierwsze słowa, które orędownik ludu opryskliwie cisnął namiestnikowi, którego oczy zapałały gniewem, a na czole ukazały się zmarszczki gniewu. Dostojnik zapanował nad sobą i rzekł pojednawczo: „Niech pan nie powtarza takich bezecnych słów. Zaprosiłem pana, by przekonać, że Elektor ma najlepsze zamiary względem Stanów. Obawiam się, że swym uporem i ociąganiem się z płaceniem podatków, tak mu potrzebnych dla wojska i kraju, usposobicie go wrogo przeciwko sobie. Wiecie przecie, że on w najbliższym czasie przybędzie do nas". — „Wiem o tem" odrzekł Roth i na jego odważnem obliczu ukazała się jeszcze większa zawziętość. „Gdyby przede mną stał w tej chwili Elektor, powiedziałbym mu to samo. Może Pan patrzeć na mnie tak wściekłym wzrokiem, ile się podoba! Co powiedziałem, to powiedziałem. On chce zniszczyć nasze przywileje i zamienić nas w niewolników" Cierpliwość namiestnika pękła. „Precz"! Dotychczas byłem względem was dobry, teraz spadnie na was sprawiedliwy gniew Elektora"! Roth bynajmniej nie uląkł się gniewnie uniesionej prawicy gospodarza i patrząc mu wyzywająco w rozpłomienione oblicze krzyknął równie donośnym głosem: „To wy wynoście się stąd precz z waszym władcą, jego wojskiem i podatkami. My, mieszczanie i szlachta, stare stany prawnie jesteśmy panami tej ziemi"! Miał twarz wykrzywioną uśmiechem nienawiści i pogardy, z ust jego padały pogróżki i przekleństwa, gdy kroczył po schodach do tłumu współobywateli, którzy zasypali go pytaniami: „Jakie były żądania namiestnika? Czy poczynił mu ustępstwa? Czy wojsko nadal tu zostanie i t. d." Zamiast odpowiedzi Roth zwrócił się w stronę zamku, podniósł groźnie rękę i krzyknął z całej siły: „Raczej poddamy się królowi polskiemu niż elektorowi Brandenburgji, który chce być naszym nieograniczonym władcą i za nasze pieniądze mnożyć wojsko i prowadzić wojny. Precz z wojskiem, precz z podatkami"! Setki potężnych głosów powtórzyło ten okrzyk. Nazajutrz wszyscy mieszkańcy Królewca byli już całkiem przekonani, że Elektor będzie zmuszony do zaprzysiężenia ich dawnych praw. Po kilku dniach do Rady Miejskiej nadszedł rozkaz namiestnika o aresztowaniu Rotha jako szkodliwego podżegacza. Skutek był wręcz przeciwny zamierzeniom władcy. Rotha wszędzie przyjmowano jak bohatera.

Ponieważ Elektor jeszcze był daleko, Królewszczanie tak się rozzuchwalili, że na swych zebraniach uchwalili uznać władzę Elektora tylko pod warunkiem, że przyzna im prawo do uchwalania podatków, ogłaszania wojny i zawierania pokoju i zobowiąże się nie wprowadzać do ich kraju oddziałów wojskowych z innych swych posiadłości. „Do djabła! Co nas obchodzą inne jego kraje!" Fala wściekłości poniosła mieszczan tak daleko, że napadli na piwiarnię, utrzymywaną dla żołnierzy przez władze wojskowe, i zburzyli ją, oburzeni na bezprawne pozbawienie dochodów miejskich szynkarzy, którzy podbechtywali tłum do tych ekscesów. Roth udał się tymczasem do Warszawy i prosił króla polskiego o wzięcie w obronę uciśnionych stanów wschodnio-pruskich. Namiestnik zażądał wydania zuchwalca i naraził się na śmieszność. Zamiast odpowiedzi mieszczanie chwycili za broń i wytoczyli na ulicę armaty. Ulubieniec ludu dumnie kroczył wśród tłumów, podjudzał i przechwalał się swą odwagą. „Nie zamierzam uciekać. Gdyby mi nawet groziło aresztowanie, nie boję się. Tylko szubrawcy są tchórzami". Roth i jego zwolennicy byli całkowitymi panami Królewca. Jak długo mieli oni triumfować?

ELEKTOR JEDNAK JEST PRAWDZIWYM WŁADCĄ

Gdy elektor otrzymał w Berlinie wiadomość o tem, co zaszło w Prusach Wschodnich, wybuchnął gniewem i oświadczył swej Radzie, że jeśli bunt nie zostanie stłumiony, sytuacja stanie się beznadziejną. Postanowiono wnet wyjechać do Królewca i użyć gwałtu, jeśli zajdzie potrzeba. 18. X. 1662 elektor przybył do Królewca i zamieszkał w starym zamku. Pozornie panował spokój. Spotkały go delegacje miasta i stanów i witały uprzejmie. Wieczorem odbyła się ku jego czci iluminacja. Wszystkie ulice dokoła zamku zostały oświetlone pochodniami. Na podwórzu rozbłysnął wspaniały fajerwerk (ognie sztuczne) i studenci śpiewali przepiękne pieśni. Elektor ze swą sympatyczną małżonką Luizą Henryką ukazał się na balkonie i łaskawie dziękował ludności za objawy przywiązania. Zaledwo jednak tłumy się przerzedziły i okrzyki umilkły, rozpoczęto na zamku naradę i powzięto śmiały plan jednym ciosem poskromić bunt i pokazać miastu, kto jest właściwym panem tej ziemi.

Roth niczego złego nie przeczuwał i spokojnie się zbudził następnego poranku w swym okazałym domu przy Miodowym Moście. Ulice były jeszcze puste. Na wieżach trzech ratuszy zegary dopiero co wydzwoniły, wzywając do pracy rzemieślników i kupców. Roth był zadowolony ze swej roboty. Elektor widocznie będzie siedział cicho, gdyż podczas kilkudniowego pobytu nie użył żadnego gwałtu. Roth codziennie spacerował po mieście, dodawał otuchy wątpiącym i zapewniał, że „tamten" nie będzie tu gospodarzem. Zajęty temi myślami zamierzał zamienić szlafrok na dzienne ubranie, gdy nagle usłyszał tętent. Wychylił się przez okno i ujrzał 50 dragonów, na czele z pułkownikiem. Ledwo zdołał dać wyraz swemu oburzeniu na bezprawne zarządzenie elektora, któremu nie wolno było wprowadzać wojska do miasta, gdy pułkownik z dwoma dragonami wtargnął do domu i kazał wyważać drzwi, co się udało w okamgnieniu. „W imieniu elektora! Chwytajcie go i skrępujcie sznurami". „Nie ważcie się"! zagrzmiał potężny głos wodza ludu. „To bezprawie, żaden elektor nie może popełniać takich gwałtów"! Żołnierze cofnęli się na chwilę, lecz rozjuszony pułkownik wrzasnął: „Związać go! Panem tu jest tylko elektor"! „Nie" zdołał krzyknąć Roth, gdy go wleczono z pokoju. Zaniechał oporu; ufał słuszności swej sprawy, spodziewał się pomocy współobywateli. Napróżno. Oddziału kawalerji prawie nikt nie dostrzegł, a Rotha umieszczono w łodzi, ukrytej pod mostem. Przywieziono go do zamku wcześniej, niż żywa dusza o tem się dowiedziała na mieście, chociaż niektórzy świadkowie gwałtu pomknęli wnet do ratuszów z niesłychaną nowiną. Jakkolwiek oburzenie było olbrzymie, jednak lęk przed elektorem i jego dragonami był jeszcze większy. Gdy ujrzano przed każdą bramą miejską oddziały jazdy, a w podwórzu zamkowem pułk w pogotowiu ostrem, odpadła wszelka chęć oporu i zdano się na łaskę tyrana. Jakże pokorny wygląd miała delegacja, prosząca o wypuszczenie Rotha. Nie raczono jej przyjąć. Elektor był zadowolony ze swego czynu. Nawet chętnie obdarzyłby wolnością zaciętego trybuna ludu, który w więzieniu i przed sądem wykazywał stale swą nieugiętą wolę i odwagę, wciąż dowodząc, że on występuje tylko w obronie dawnych praw krajowych i miejskich. Elektor kazał oświadczyć poufnie Rothowi, że on go łaskawie obdarzy wolnością, wzamian za przyznanie się do winy i prośbę o ułaskawienie. „Nie chcę żadnej łaski! Bronię swego prawa" była odpowiedź niezłomnego człowieka. To też do samej swej śmierci, w ciągu lat 15, zwycięzca trzymał go w więzieniu, w fortecy Peitz, w dość zresztą łagodnych warunkach, gdyż w gruncie rzeczy uznawał, że słuszność jest po stronie złamanego wroga.

Królewiec wkrótce zapomniał obrony swych praw i stał się wiernem i powolnem miastem. Obecnie jest gniazdem wszelkich odwetowych przygotowań przeciw Polsce i jednym z najważniejszych punktów wypadowych w przygotowywanej przeciw nam wojnie.